

czzerwony karzeł

2 (19) 2015

ISSN 1425-5952



9 771425 595204

PROZA

Jacek Izworski	
<i>Sierotka</i>	6
Andrzej Prószyński	
<i>Mój sąsiad</i>	9
Jean-François	
<i>Trauma</i>	11
Krzysztof Szkułatowski	
<i>Dziedzictwo</i>	22

KOMIKS

Tomasz Mering, Marcin Białczewski	
<i>Doppelganger</i>	13

PUBLICYSTYKA

Karolina „Mangusta” Kaczkowska	
<i>Romantyczna frenezja i historia w Zamku kaniowskim Seweryna Goszczyńskiego</i>	3
Grzegorz Szczepaniak	
<i>Odmienne stany wrażliwości, czyli: Kto się boi fantastyki?</i>	19

Czerwony Karzeł

Magazyn Literacki Gdańskiego Klubu Fantastyki
Nr 2 (19) 2015

100 egz.

ISSN 1425-5952

Adres korespondencyjny:

80-385 Gdańsk
ul. Opolska 2

Redakcja:

Karolina Kaczkowska (RN)
Agata Plank-Wcisłowska
Jan Plata-Przechlewski
Grzegorz Szczepaniak

E-mail:

delvanakk@gmail.com

Okładka:

Sławomir Wojtowicz

Druk:

Print Group Sp. z o.o., <http://printgroup.pl>

OD REDAKTORA

Zapewne każdy z nas przynajmniej raz w życiu został nazwany wariatem, szaleńcem czy nienormalnym. Zdarza się tak zwykle wtedy, gdy nasze postępowanie przekracza ramy tzw. zdrowego rozsądku i z dowolnego powodu szokuje otoczenie. Niektórzy ludzie stosują takie epitety jako wyszukany komplement, chcąc podkreślić czyjaś indywidualność, podczas gdy inni wyrażają w ten sposób wyłącznie dezaprobatę. Niezależnie od oceny okoliczności, szalenie bezsprecznie jest kimś niezwykle i nierzadko groźnym. Choć nauka wyjaśniła już powody zapadania na choroby psychiczne oraz opracowała sposoby radzenia sobie z nimi, nasze mózgi i to, co się w nich dzieje, wciąż pozostają „niezagospodarowanym obszarem możliwości”. Szaleńcy, obok strachu czy odrazy, wzbudzają także zainteresowanie – są niepospolici, tajemniczy, a przez to ciekawi. Tam, gdzie pojawiają się nowe możliwości, jest pole popisu dla fantastyki.

Zresztą, w oczach osób postronnych, fantastów i wariatów mają ze sobą wiele wspólnego – żeby nie powiedzieć: to jedno i to samo. Wszak obaj mają tendencję do porzucania rzeczywistości czy postrzegania jej w nieco innych kategoriach. Dorośli ludzie przebiegają się za nieistniejące postaci, a z ich rozmów wręcz można czasem wywnioskować, że bohaterowie fikcji są dla nich równie istotni, co żyjący ludzie. Czy to aby normalne? ;)

W niniejszym numerze zapraszamy Was na przegląd rozmaitych odcieni szaleństwa – od zabawnych po mroczne – w różnych formach. Znajdzie się coś dla wielbicieli publicystyki, literatury oraz komiksu. A zatem, drogi Czytelniku, przejrzyj spis treści i zdecyduj, czym nakarmisz dziś swoje szaleństwo.



KAROLINA „MANGUSTA” KACZKOWSKA

ROMANTYCZNA FRENEZJA I HISTORIA W ZAMKU KANIOWSKIM SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO

Stwierdzenie, że romantyzm to wielka epoka w dziejach literatury polskiej, nie jest jedynie wyświechtanym frazesem. Szkolne podejście do tego okresu literackiego woła o pomstę do nieba, ponieważ w toku edukacji, w imię wychowawczych założeń, sprowadza się go do kwestii nieszczęśliwej miłości i walki narodowo-wyzwoleńczej. Tymczasem romantyzm to skarbnica nie tylko kunsztownych form i środków wyrazu, ale i motywów, dzięki którym rozwinęły się także rozmaite dziedziny kultury popularnej z horrorem na czele. Nic w tym dziwnego, wszak to epoka, w której do łask wróciły ludowe wierzenia i legendy, rozkochana nie tylko w szerokich stepach i wodospadach, ale także w mroku gotyckich murów i ciemniejszych stronach ludzkiej natury.

Zamek kaniowski Seweryna Goszczyńskiego to utwór, z jakim niekoniecznie można się spotkać w szkole. Choć wykorzystuje wątki historyczne, daleko mu do mesjanizmu *Dziadów* czy *Kordiana*. Poemat ten cechuje się przede wszystkim romantyczną frenezją – prezentuje obrazy gwałtowne, makabryczne, nie stroni także od szaleństwa. Utwór Goszczyńskiego powstał w 1828 roku. Akcja toczy się w Kaniowie na Ukrainie podczas

koliszczyzny – krwawego buntu ruskiego chłopstwa i Kozaków przeciwko polskiej szlachcie. 21 czerwca 1768 roku buntownicy zdobyli miasto Humań, w którym dokonali straszliwej rzezi szlachty. To wydarzenie szczególnie zainspirowało Goszczyńskiego i stało się kanwą jego opowieści.

Głównym bohaterem poematu jest młody Kozak Nebaba, siłą rzeczy uczestnik wydarzeń historycznych, uwikłany także w osobisty dramat. Jego ukochana Orlika wychodzi za mąż za znienawidzonego przez miejscowych rządcę tych ziem, Polaka. Wściekły i zazdrosny Nebaba, nie wiedząc, że kobieta została zmuszona do małżeństwa podstępem, dołącza do buntowników, pragnąc przede wszystkim zemsty na niewiernej i jej mężu. Młody Kozak nie jest bowiem uosobieniem cnót i sam ma niejedno na sumieniu. W przeszłości uwiódł Ksenię, miejscową dziewczynę, a kiedy jej uczucie stało się dla niego niewygodne, próbował utopić kochankę. Kobieta przeżyła, ale nigdy nie wróciła do zdrowia.

Goszczyński w *Zamku kaniowskim* połączył wydarzenia historyczne z miejscowymi legendami i folklorem, elementem makabry oraz nastrojem tajemniczości i grozy, dzięki czemu atmosfera utworu doskonale wpisuje się w poetykę



horroru. Autorowi udało się stworzyć także ciekawe, bo niebędące biernymi uczestniczkami zdarzeń, postaci kobiece.

Wątek Orliki, ukochanej Nebaby poślubionej rządcy zamku, wykorzystuje miejscowe podanie o wydarzeniach, jakie rozegrały się tam podczas rzezi humanńskiej. Opowiadano, że żona pana na Kaniowie, zraniona i schwytana przez Kozaków, zdołała im się wymknąć. Kiedy uciekała, opierając się zakrwawionymi dłońmi o zamkowe mury, wszędzie zostawiała ślady, które nigdy nie dały się usunąć. Nieszczęsną ponownie złapano i w końcu zabito, ale krwawe znaki pozostały tak długo, aż cały zamek nie obrócił się z biegiem czasu w perzynę. Orlika w utworze, zanim stała się ofiarą Kozaków (pośród których nie było jednak Nebaby), zdążyła jeszcze zostać mężobójczynią. Mordercy zastali ją w małżeńskiej sypialni, całą zakrwawioną, z nożem w ręku nad trupem męża:

Przed nią trup leży w rozrzuconym łożu;
W ręku nóż trzyma, krew pieni po nożu;
A na niej całej skrwawiona koszula.
Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
I żmie ją niby i niby wypiera,
Potem martwego pościelą otula [...]

Tymczasem Nebaba włóczył się po ciemnym lesie, próbując rozwiązać problemy przywództwa wśród Kozaków, wywarcia zemsty na Orlice oraz uwolnić się od towarzyszącej mu Kseni, od czasu ich „rozstania” zwanej powszechnie topielicą. Kiedy tak wędruje, towarzyszą mu coraz bardziej gwałtowne emocje,

podkreślane przez nastrojowe opisy przyrody, i po raz kolejny próbuje przemocą uwolnić się od byłej kochanki.

Ksenia to bardzo ciekawa postać, przywołująca echa szekspirowskiej Ofelii. Choć przeżyła topienie, trudno twierdzić, że wciąż należy do świata żywych. Ksenia jest szalona, włóczy się po okolicy, głównie prześladowając Nebabę. Narrator nie szczędzi jej negatywnych określeń, nazywając topielicą, diablicą, straszidłem czy widziadłem. Postać ta wydaje się stać na granicy świata żywych i martwych. Takie postrzeganie szaleństwa przez lud nie powinno dziwić. Podobna sytuacja miała miejsce w programowej balladzie Mickiewicza pt. *Romantyczność*, w której występuje postać Karusi, szalonej dziewczyny, rzekomo widującej ducha swego ukochanego. Szaleniec jest tu zatem osobą kierującą się „czuciem i wiarą”, co umożliwia kontakt ze światem nadprzyrodzonym.

Jednak odbiór Karusi różni się znacząco od tego, jak lud ukraiński postrzega Ksenię. Według tamtejszych wierzeń, ważne dla społeczności wydarzenia zawsze poprzędza jakieś niezwykle, tajemnicze zjawisko. Zgodnie z miejscowymi podaniami, także rzeź humanńska została „zapowiedziana” przez pojawienie się w okolicy nieznajomej – szalonej kobiety, która przemierzała wsie z krzykiem na ustach:

Cyt! »Ho-hop! Ho-hop!« odgłos smutny, znany,
Smutny jak odgłos sowy pośród cienia,
Coraz wyraźniej, coraz bliżej woła.
»Topielec Ksenia! Ach, topielec Ksenia
Zbliża się do nas!« wołano dokoła.



Ksenia, będąc uosobieniem tej legendy w utworze, pełni jeszcze jedną bardzo ważną rolę w *Zamku kaniowskim*. Jej istnienie w takiej kondycji psychicznej stale przypomina Nebabie o zbrodni, jakiej się dopuścił – jest jak wyrzut sumienia. Można także pokusić się o stwierdzenie, że Ksenia oszalała z miłości – jakże romantycznie – gdyż końcem końców z tego powodu spotkała ją okrutna śmierć z rąk Kozaków.

Zamek kaniowski to utwór, na który warto zwrócić uwagę, ponieważ może okazać się satysfakcjonującą lekturą zarówno dla wielbicieli klasyki, jak

i literatury stricte popularnej. W niewielkiej objętości zawarto tyle intryg i elementów makabry, że sam George R. R. Martin powinien czuć się usatysfakcjonowany. Spłot wydarzeń i komplikacje spowodowane szaleństwem ludzkich namiętności sprawiają, że okrutna śmierć nie oszczędza nikogo – ani złoczyńców, ani niewinnych.

Tekst powstał na podstawie wydania *Zamku kaniowskiego* oraz *Kilku słów o Ukrainie i rzezi humanistycznej*, Kraków 2002, Universitas, seria *Klasyka mniej znana*.



Michał Elwiro Andriolli



JACEK IZWORSKI

SIEROTKA

— Dokumenty! Lishka był przygotowany na wszystko, tylko nie na to. Postać w granatowym mundurze pożądlawie wyciągająca rękę była mu oczywiście doskonale znajoma, ale skąd ten postrach miłośników szybkiej jazdy zjawił się tutaj, w kabinnie pierwszego nadświatelnego gwiazdolotu, odbywającego próbny lot w kierunku jądra Galaktyki?

— Dokumenty! — powtórzył Policjant. Po chwili dodał:

— Mam nadzieję, że nie będę musiał wyliczać wszystkie zasady ruchu, jakie przekroczył pan w ciągu ostatnich pięciu minut.

— Jakie dokumenty, jakie zasady?... — wymamrotał Lishka.

— Dokumentów także nie ma — stwierdził Policjant nie bez pewnej satysfakcji.

W międzyczasie wielokrotnie testowana psychika pilota poradziła sobie z pierwszym szokiem i Lishka zaczął działać. Rzucił się naprzód, lecz jego pięść nie natrafiła na przeszkodę. Wizerunek Policjanta po prostu pękł jak bańka mydlana. Tak właśnie powinno było być. Lishka już miał odetchnąć z ulgą, gdy nagle... Nie, to było niemożliwe! Policjant pojawił się w drugim kącie sterówki i powiedział:

— Proszę uwzględnić, że próba przeszkadzania inspektorowi w wykonywaniu jego obowiązków służbowych zwiększa pańską winę.

Lishka postanowił nie zwracać już uwagi na owoc swojej wybujałej wyobraźni i zająć się pilotażem. Okazało się jednak, że gwiazdolot nie słucha sterów. Zza pleców Lishki widmo Policjanta z ironicznym współczuciem obserwowało jego manipulacje. Po chwili przemówiło:

— U najzłośliwszych piratów drogowych zawsze najbardziej dziwił mnie ich dziecinny upór w negowaniu własnej winy i próby ucieczki. Proszę się nie trudzić, silnik jest zablokowany.

Nie można było już dłużej wątpić w realność wydarzenia. Lishka wyteńczył umysł i nagle znalazł prawidłowe rozwiązanie.

— Chwileczkę! — zwrócił się do inspektora — Przecież tak właściwie pana tu nie ma. Pan na pewno znajduje się w innym miejscu, a tu jest tylko pański wizerunek, i to prawdopodobnie odpowiednio przystosowany do mojej psychiki, nieprawdaż?

— No-no? — ni to potwierdził, ni to zapytał wizerunek.

— Już wiem! — zawołał w olśnieniu Lishka — Jest pan przedstawicielem wysoko rozwiniętej cywilizacji, a ja chyba wlażem wam w środek jakiejs trasy galaktycznej...



— Międzygalaktycznej — poprawił przedstawiciel.

— O właśnie! — podchwycił Lishka — Uważa mnie pan za pirata drogowego, a w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Nasza cywilizacja — ludzkość — dopiero zaczyna wychodzić w daleki kosmos. Tak właściwie to jest nasz pierwszy lot nadświatlny.

— A gdzie prowadzący?

— Jaki znów prowadzący? — zdziwił się Lishka.

— Instruktor, który uczy pana prowadzić statek — Policjant łaskawie zniżył się do wyjaśnień.

— Mówiłem już: to nasz pierwszy próbny lot... — Lishka postanowił bronić się do upadłego.

— Ile macie lat? — przerwał mu ostro przybysz.

— Ja? Trzydzieści dwa.

— Nie chodzi o pana. Ile lat ma pańska cywilizacja? Galaktycznych..

— Nie wiem — zmieszał się Lishka — Ze dwa, trzy lata... Może nawet mniej... Nie wiem.

— Cooo?! — głos przybysza zrobił się piskliwy — Przecież wiesz, że cywilizacjom, które nie skończyły czterestu lat galaktycznych, zabrania się w ogóle lotów poza granice układu. Nawet na pojazdach bezsilnikowych. A prawdziwe prawo jazdy można uzyskać dopiero po ukończeniu osiemnastu lat. Nie ja tego tak nie zostawię! Kim są rodzice twojej cywilizacji?

— Nasza cywilizacja nie ma żadnych rodziców! — wykrzyknął Lishka.

— Chłopcze, nie trzeba się wypierać — powiedział miękko Policjant — Czyżby ci nie mówili, że brzydko jest kłamać? Zaraz pójde z tobą do domu, porozmawiam z waszą mamą i wszystko się wyjaśni. Twój samochodzik wezmę na hol i polecimy.

Gwiazdozbiory na ekranach drgnęły i zaczęły się przemieszczać. Po godzinie przybrały znajome zarysy — statek zbliżał się do Słońca. Galaktyczny inspektor przylgnął do ekranu.

— Na czarne i białe dziury! — zawołał w podnieceniu — Któż by pomyślał! Sierotka! W naszych czasach, pośrodku gęsto zaludnionej Galaktyki!... Coś podobnego! — pokręcił głową — Ale to nic, my wam pomożemy! Niedługo będą tutaj wszyscy specjaliści od wychowywania dzieci, jakich tylko znajdziemy. Ja sam jestem wprawdzie tylko pracownikiem Galaktycznej Służby Ruchu, ale zrobię dla ciebie niewielki kojec.

W międzyczasie gwiazdołot zbliżył się do Słońca i Lishka, który dopiero co zamierzał zwycięsko dowieść prawa ludzkości do lotów międzygalaktycznych, zobaczył, jak Ziemia zadrżała, rozciągnęła się nienaturalnie i nagle zamieniła się w olbrzymi płaski placek. Na obrzeżach ziemskiego kręgu pojawiły się wysokie,



pionowe ściany, a nad nimi piękne kryształowe sfery, przepuszczające światło Słońca i gwiazd, lecz zasłaniające ich widok.

— No, chyba nieźle wyszło! — powiedział z zadowoleniem inspektor — Idź się bawić, chłopcze. Chociaż nie, poczekaj, jesteś pewnie głodny...

Ziemia jeszcze raz się zmieniła. Część rzek zrobiła się biała od mleka, ich brzegi stały się grząskie od kisielu, gdzieś wyrosły z gruntu gotowe pieczone zwierzęta, obficie przyprawione i polane najrozmaitszymi sosami, na polach pojawiły się wolno stojące piece, zaopatrujące w pieczywo, ciastka i garmażerkę każdego, kto tylko zechce w nich napalić.

— No, teraz już całkiem dobrze — podsumował przybysz. Zwracając się do skamieniałego ze zdumienia Lishki dodał: — Pobaw się na razie sam. Wujek niedługo wróci — i znikł.

Gwiazdolit, w dalszym ciągu nieśłuchający Lishki, wylądował na centralnym kosmodromie. Nikt zresztą nie zwrócił na niego uwagi. Wszystkie radary i kamery skierowane były w przeciwnym kierunku, gdzie na łące obok pola startowego krążył korowód elfów, nimf i satyrów, a z pobliskiej rzeki wypełzło na ląd kilka syren...

Opowiadanie jest żartem napisanym pod wpływem cyklu Brina *Wspomaganie*





ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

MÓJ SĄSIAD

(MATURALNY DONOS OBYWATELSKI)

O d paru miesięcy zastanawiałem się, kogo uczynić bohaterem mojej pracy maturalnej. Lecz gdy do sąsiedniego mieszkania wprowadził się niejaki Abacki, przybysz z dekadentckiego Tripolis znad zatoki Syrtis Major, pozbyłem się wszelkich wątpliwości. To on, mój wymarzony dysydent i świr jakich mało!

Nie mogę zrozumieć, jak z takim nazwiskiem udało mu się prześlizgnąć przez sito Urzędu Meldunkowego Cydonii. Nie ma go przecież w Oficjalnym Rejestrze Nazwisk, co widać gołym okiem, sam zresztą sprawdzałem. A każdy głupi wie, że fachowcy w naszej stolicy są najlepsi na całym Marsie. Zupełnie tego nie trawię. Jakaś tajna operacja, czy jak?

Ów Abacki za nic ma uroki naszej metropolii. Ani razu nie wjechał na wieżę widokową, by podziwiać słynną Marsjańską Twarz, której profetyczni tubylcy nadali przed wiekami rysy Naszego Umiłowanego Prezesa (Oby Żył Wiecznie). Co więcej, wygląda na to (o zgrozo), że za nic ma nawet samego Prezesa (OŻW). A przecież powinien być Mu wdzięczny, że w wieku 50 lat mógł odejść na emeryturę, zrzucając troskę o swoje utrzymanie na barki nas, młodych. No ale czego można się spodziewać po osobniku o wyraźnej aberracji umysłowej, niezdolnego pojąć wyższych arkanów sprawiedliwości społecznej?

Oto przykład. Miast docenić Nielimitowane przydziały powietrza w stolicy, jął krytykować nasze manifestacje jedności. Że niby pochodnie zużywają zbyt dużo tlenu. I dodał jeszcze coś po niemiecku, czego nie rozumiałem, bo nie uczyłem się języka naszych sąsiadów z Arabia Terra. Ot, malkontent, żeby nie powiedzieć idiota.

Ale najlepsze zostawiłem na koniec. Kiedy Abacki odkrył w swoim pokoju gustowny zegar w kształcie sowy, który Nasz Umiłowany Prezes (OŻW) w swej łaskawości podarował każdemu mieszkańcowi stolicy, wyniósł go czym prędzej na śmietnik. Kiedy spytałem go, co robi, zaśpiewał w odpowiedzi następującą piosenkę:

*Łubu dubu, łubu dubu,
Niech nam żyje Prezes Naszego Klubu,
Niech żyje nam!*



Zainteresowałem się, czy chodzi mu o nasz Klub Parlamentarny. Roześmiał się histerycznie, tak jak tylko prawdziwi wariaci potrafią, po czym dodał, że co to za klub, jeśli jest tylko jeden. I znów coś zaszwargotał po niemiecku.

Nie dziwię się wcale, że zwinęli go zaraz następnego dnia. Takiego świra nigdy wcześniej nie widziałem. I jeśli Bóg da, a Prezes pozwoli, nigdy więcej nie zobaczę.

(1.11.2015)





JEAN-FRANÇOIS

TRAUMA

- **B**abcu, dlaczego nie chcesz obejrzeć ze mną finału *Zmierzchu* w telewizji?
- Bo jakoś nie lubię filmów o wampirach, Elżuniu!
- Dlaczego? Wampiry są takie sexi! A ty zawsze, gdy się o nich mówi, dziwnie się zachowujesz. Zupełnie, jakbyś była... szalona?
- Może i jestem... Teraz, gdy jestem już bardzo stara, coraz obsesyjniej nachodzi mnie wspomnienie z dzieciństwa. Wspomnienie, o którym przez dziesiątki lat usiłowałam nie myśleć.
- Opowiedz, babciu!
- Nie powinnam cię tym niepokoić, wnusiu...
- Ależ, babciu...
- No dobrze; może lepiej, byś o tym wiedziała.
- A co ci się stało?
- Właściwie nic. Ale mogło wiele. Byłam młodsza od ciebie, gdy na naszą leśniczówkę napadli bandyci. Trzech potężnych typów z barami jak leśni zbóje. Ojciec akurat pracował gdzieś w terenie, jadłyśmy obiad tylko z mamą i z ciocią.
- Nie było żadnych innych mężczyzn? A twój brat?
- Urodził się dopiero dwa miesiące później; byłby zresztą tak samo małym dzieckiem jak ja. Ale w domu był jeszcze jeden mężczyzna...
- No widzisz!
- Był to mój dziadek. Bardzo wiekowy i niedołążny. Leżał cały czas w łóżku w zacienionym pokoiku na poddaszu. Właściwie w ogóle nie wstawał. Wszyscy się nim opiekowali.
- Ty też? Kochałaś go?
- Czasami nosiłam mu jedzenie. Ale trochę się go bałam...
- Dlaczego? Nie lubił cię? Krzyczał na ciebie?
- Nie. Ale gdy łapczywie jadł kaszanekę lub chłęptał czerninę – patrzył na mnie takim dziwnym, jakby „głodnym”, wzrokiem...
- Rozumiem! „Zły dotyk”! Pewnie chciał cię molestować. Biedna babcia...
- Coś ty, dziecko! Takich rzeczy w naszej rodzinie nigdy nie bywało. A poza tym – to nie było to; nie zrozumiałabym tego wtedy jeszcze, ale bym to przecież wyczuła. To był jakiś inny głód.
- To ja już nie wiem, o co chodzi. Przecież mój pra-pra nie był chyba ludożercą! Ale co było z tymi bandytami? Skrzywdzili was?
- Chcieli. Ale nie zdążyli.
- Wrócił twój tata?



— Nie. Zresztą planowali zacząć się na niego. Uderzyli w twarz mamę, ciocię i mnie. Byli bardzo brutalni i wulgarni. Mamę i mnie związali w jadalni, ciocię zaczęli obmacywać i ciągnąć w kierunku gabinetu ojca. Ale nagle usłyszeli odgłosy na górze. Zaczęli krzyczeć do nas, czy ktoś tam jest. Mama i ciocia z dziwnym wyrazem twarzy od razu i jednocześnie powiedziały o dziadku.

— Bandyci zabili go?

— Jeden z nich poszedł na górę. Po chwili dobiegł stamtąd niehumaniczny wrzask. Żal mi się zrobiło dziadka; ale zdziwiłam się, że tak słaby staruszek krzyknął tak głośno. Dwaj pozostali bandyci zawołali kolegę. Ale ten milczał. W końcu jeden nich, z odbezpieczoną bronią, powoli ruszył w kierunku schodów. Słyszałam skrzyp schodów – a potem znów ten niehumaniczny wrzask na górze. Mina ostatniego bandziora nagle wzbudziła we mnie irracjonalną nadzieję, iż to nie dziadek tak krzyczał... I miałam rację. Po chwili dziadek stanął w drzwiach prowadzących z piętrowego. Wyglądał tak dobrze i zdrowo jak nigdy; a przecież musieli go pobić, bo usta i podbródek miał całe we krwi. Trzeci bandyta z wrzaskiem wycelował w niego broń. Musiałam chyba stracić na chwilę świadomość z przerażenia, bo wydało mi się, że dziadek znalazł się za jego plecami w mgnieniu oka. Chwyciwszy znacznie od siebie młodszego, potężniejszego i cięższego mężczyznę – błyskawicznie wciągnął go do gabinetu. I znów usłyszeliśmy ten potworny krzyk. Bólu, przerażenia, rozpacz. Potem coś jakby trzask łamanego drewna i brzdęk tłuczonego szkła – i wszystko ucichło. Siostra mamy podbiegła do gabinetu, pchnęła drzwi na oścież. Na podłodze leżał martwy, poharatany bandzior; ale krwi nie dostrzegłam nigdzie. Zobaczyłam też jeszcze rozbite okno. Zemdlałam. Gdy leżałam w gorączce, wrócił ojciec. Dziadka nie widziałam już nigdy. To znaczy... Nie wiem... Chyba wariuję na starość!

— Tak, babciu?

— Ostatnio, gdy niespodziewanie rozsmakowałam się w czerninie i kaszance, wydawało mi się kilka razy, że przy sklepie wpatruje się we mnie jakiś nieznajomy człowiek.

— I co z tego? Zresztą pewnie ci się faktycznie, babciu, wydaje. To spokojna dzielnica.

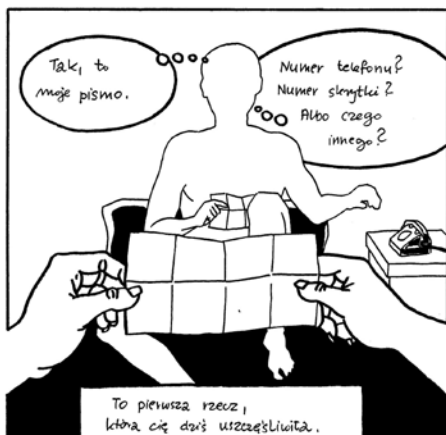
— Ale twarz tego człowieka dziwnie przypomniła mi twarz dziadka.

— Babciu, ile on by musiał mieć lat! I byłby pomarszczony gorzej niż Imperator z *Gwiezdnych wojen*!

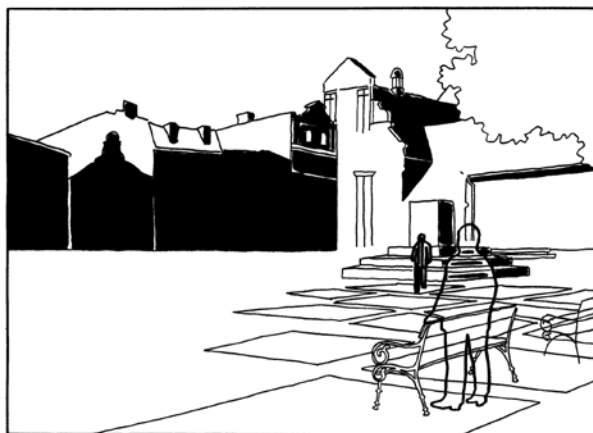
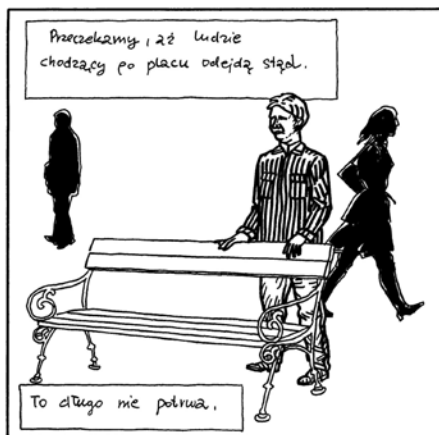
— Wiadomo, że to nie może być dziadek. On zresztą przypomina raczej tego „odmłodzonego” dziadka w drzwiach jadalni. Nie ma tylko umazanej krwią twarzy.

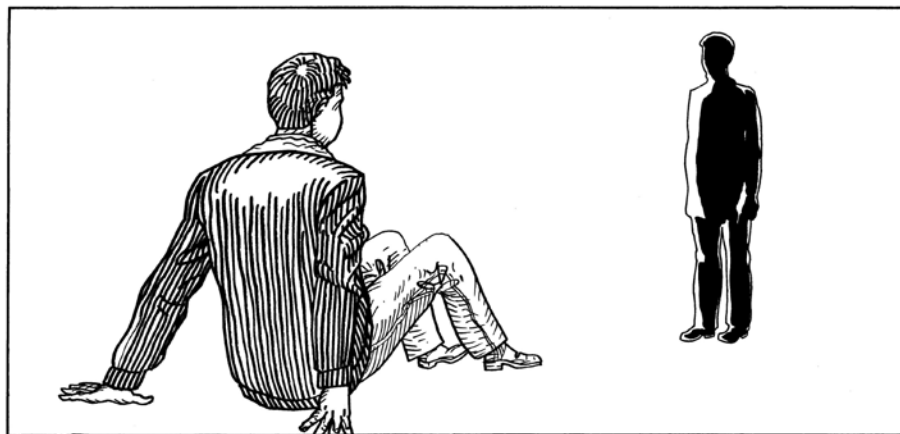
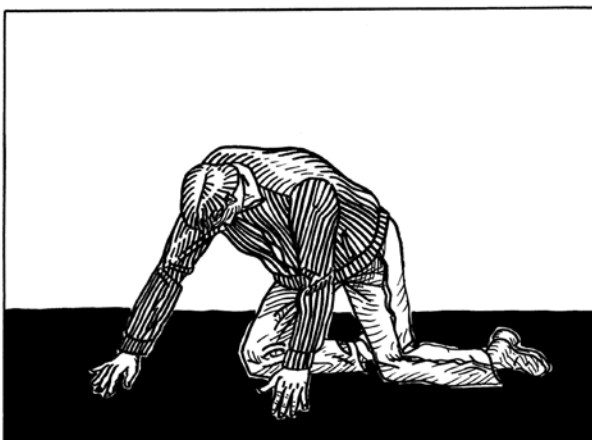
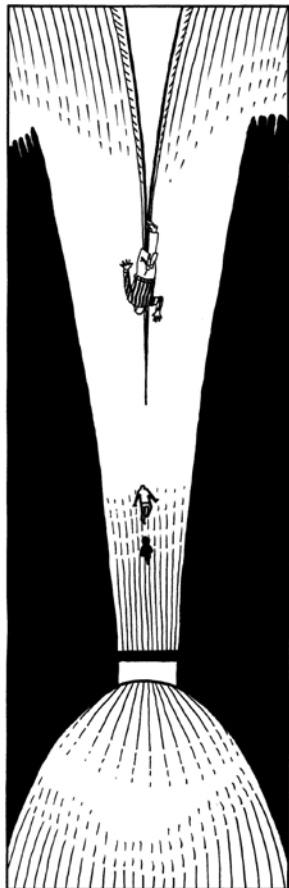
— Brrr... Babciu! Aż mi się *Zmierzchu* odechciało!

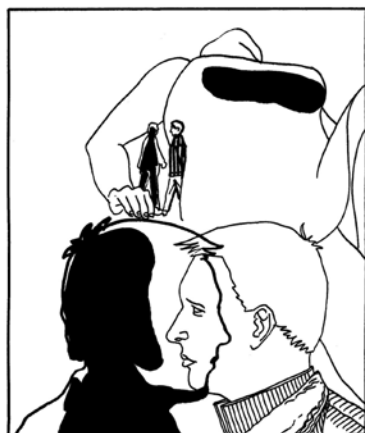
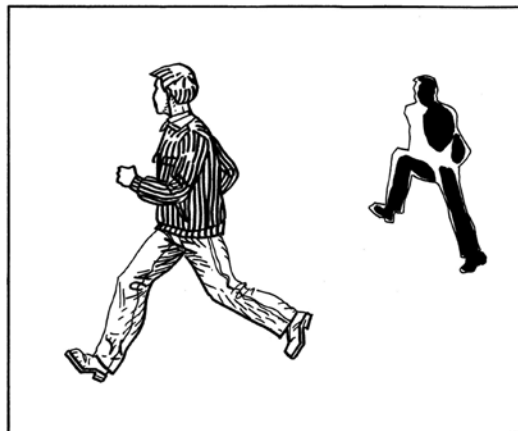
— No widzisz. Ale nie powinnam ci tego opowiadać. Myślę zresztą, że to ta trauma po napadzie nasunęła mi jakieś wypaczone wspomnienia, a na starość prowadzi do utraty zmysłów. Podgrzejesz mi odrobinę czerninki, Elżuniu?















GRZEGORZ SZCZEPANIAK

ODMIENNE STANY WRAŻLIWOŚCI, CZYLI: KTO SIĘ BOI FANTASTYKI?

Czasami człowiek się na coś uprze, a potem tego żałuje. Kiedy parę miesięcy temu ważyły się losy tematu 19. numeru „Czerwonego Karła”, razem z Jasiem optowałem za szaleństwem. Być może miałem wówczas jakieś pomysły związane z tym zagadnieniem albo z jakichś innych powodów temat wydawał mi się inspirujący. Dość, że kiedy przyszło oddać własny tekst do składu, w głowie pozostała mi jedynie pustka. Nerwowo – żeby nie powiedzieć: panicznie – szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia, uchwyciłem się pomysłu psychoanalitycznego, czyli odpowiedzi na tytułowe pytanie.

Odbiorcy tekstów kultury dzielą się zasadniczo na trzy grupy: tych, którzy fantastykę cenią sobie ponad inne gatunki, takich, którym ona nie wadzi, ale w żaden szczególny sposób jej nie traktują oraz tych, dla których jest ona niczego nie wartymi bajeczkami. Każdy z nas miał zapewne kontakt z przedstawicielami tych wszystkich grup, nie trzeba więc tłumaczyć, spotkania z którymi są najfajniejsze, a które najbardziej przykre. Zresztą, co tu dużo pisać, nawet w mojej najbliższej rodzinie nie mam zbyt wielu krewnych, którzy podzielaliby moje fascynacje. Jeszcze wśród rówieśników czy młodszych kuzynostwa znajduję jako takie zrozumienie, ale w fandomie działam tylko ja.

Fantastyka to sztuka wyobraźni. W swym literackim *credo* – eseju *O baśniach* – pisał Tolkien, że fantazja „nie niszczy rozumu, ani go nawet nie obraża; nie stępia też apetytu na prawdę naukową i nie zaciera jej postrzegania. Wręcz przeciwnie. Im bystrzejszy i trzeźwiejszy umysł, tym wspanialsze będzie snuł fantazje”. Upodobanie dla fantastyki nie jest zatem przejawem choroby psychicznej, choć może do niej doprowadzić. Ale tylko wtedy, kiedy przekroczone zostaną wszelkie granice, tak że dla „apetytu na prawdę naukową” zabraknie już miejsca.

A jednak tak zwani rozsądni ludzie niechętnie przyznają się do tego, że czytają fantastykę, oglądają także filmy, czy – o zgrozo! – grają w fantastyczne gry. No chyba, że coś z tego autoramentu jest aktualnie na topie, wszyscy o tym mówią i przyznanie się do takiej samej słabości będzie glejtem do znalezienia się w lepszym towarzystwie. Zasadniczo jednak gustowanie w fantastyce bywa uważane za przejaw niedojrzałości, pewną psychiczną ułomność i coś podejrzanego. Pewnie, że po komercyjnych sukcesach Harry Potterów czy Władców Pierścieni wyśmianie wprost fana fantastyki zdarza się znacznie rzadziej, niż

* J. R. R. Tolkien, *O baśniach* [w:] tegoż, *Potwory i krytycy i inne eseje*, tłum. T. A. Olszański, Poznań 2000, s. 186.



w czasach, kiedy sam zaczynałem swój romans z tą dziedziną, ale nadal nie brakuje krytyków zbytniego rozsmakowania się w owocach fantazjowania.

Słabość do fantastyki jest, podobnie jak do skłonność do innych gatunków kultury popularnej, funkcją wrażliwości właściwej danemu odbiorcy. Dlatego niektórzy chętniej sięgają po utwory sensacyjne, inni po kryminały, a wreszcie są i tacy, którzy wybierają fantastykę. Nasze preferencje kształtowane są przez różne bodźce: rodziców, szkołę, rówieśników, aktualnie panujące mody. Na początku chłonimy wszystko, z czasem zaś okazuje się, że pewien typ narracji, metaforyki (coś, co można by nazwać za teorią komunikacji „kodem”) odpowiada nam bardziej i chętniej sięgamy po teksty kultury nimi się posługującymi. Co wcale nie oznacza, że nie jesteśmy w stanie rozkoszować się dziełami z innego obszaru gatunkowego.

Na własnym przykładzie mogę powiedzieć, że fantastyka przemawia do mnie najpełniej, ale i w jej obszarze mam swoją faworytkę w postaci fantasy. Natomiast nie mniej frajdy, a czasami nawet znacznie więcej intelektualnej satysfakcji, sprawia mi lektura powieści Jeana Raspaila czy Matthew Pearl (Raspail to głównonurtowiec pełną gębą, interpretujący współczesność przez pryzmat dwóch rojalistyczno-konserwatywnych przekonań; twórczość Pearl upisuje się w nurt retrokryminałów, ale z takim naddatkiem erudycyjnych

wtrętów, że właściwie trudno określić, co w jego powieściach przeważa: sensacja czy dyskurs). A przecież na tej dwójce nie wyczerpuje się lista pozafantastycznych twórców, których utwory lubię i doceniam.

Podobnie sprawy się mają z fanami innych pop-gatunków. Szczególnie upodobanie dla tego czy innego typu twórczości nie zamyka ich na dokonania autorów spoza ulubionego kręgu. Jedyna może różnica między fanami fantastyki a pozostałych dziedzin kultury popularnej jest taka, że nie tworzą oni tak szerokiego ruchu jak fantaści, z klubami, konwentami, nagrodami, pismami itp. Wynikać to może z tego, że fantastyczne fabuły rozgrywają się najczęściej w zmyślonych światach, epatując rozbudowanymi wizjami obcej rzeczywistości. Przekaz ten bywa na tyle silny, że wielu odbiorców inspirowane do tworzenia sobie namiastki powieściowego (filmowego, gierkowego) świata, a wydawców (producentów) do zwielokrotnienia swoich zysków przez sprzedaż gadżetów. Z tego też powodu fantaści narażają się odbiorcom kultury bezprzymiotnikowej: raz, że przygotowuje się dla nich specjalną wyróżniającą ich ofertę; dwa, że ma ona często tak infantylny charakter.

Niechęć do fantastyki motywowana jest zazwyczaj dwójako. Z jednej strony chodzi o domniemanie niedojrzałości: znowu te bajeczki. Druga fala krytyki ma znacznie głębsze podstawy: co to za diabelstwo. Temu pierwszemu przypadkowi



właściwie nie ma się co przyglądać – doskonałą diagnozę postawił Tolkien: fantastyka to nie jest gatunek bezrozumny i oderwany od rzeczywistości; prawdziwie dobre fantastyczne teksty kultury są w stanie stworzyć jedynie twórcy obdarzeni bystrym i trzeźwym umysłem. W przeciwnym wypadku nie uda im się wytworzyć wystarczająco przekonującej iluzji, bez której nie ma mowy o niezakłóconym odbiorze fantastycznego dzieła. Odbiorcy również muszą się cechować otwartym rozumem, by wziąć udział w grze proponowanej przez twórcę.

Zarzut krzewienia pogaństwa (tudzież innego zwyrodnialstwa) w stosunku do fantastyki może być zaś częściowo prawdziwy. Nie brakuje przecież w tym gatunku utworów jawnie heretyckich, antyreligijnych, a nawet wręcz satanistycznych. Żeby jednak potępiać za to całą fantastykę, to już nielicha przesada, zwłaszcza kiedy od czci i wiary odsądza się np. *Władcę Pierścieni* (miałem taki przypadek w swojej rodzinie). Żeby kategorycznie stwierdzić diabelską proveniencję tego czy innego utworu, trzeba jednak sięgnąć głębiej niż do wierzchniej warstwy dzieła. Orkowie czy Uruk-hai wyglądają rzeczywiście jak z piekła rodem i w powieściowym świecie mniej więcej stamtąd faktycznie pochodzą. Ale ich pojawienie się nie ma przecież na celu sławienia władcy ciemności. By to zrozumieć, trzeba się choć na chwilę zatrzymać i wczytać (wpatrzeć) w powieść (lub jej adaptację). Krytykom

łatwiej jednak potępiać w czambuł, niż przeanalizować inkryminowane tytuły. A szkoda, bo przecież przywołany tu już parokrotnie Tolkien w fantastycznym światotwórstwie widział gest naśladowający dzieło Bożej kreacji, a jego celem miało być niesienie niemal ewangelicznej otuchy odbiorcom.

Kto się zatem boi fantastyki? Przede wszystkim ci, którzy po nią nie sięgają, którzy jej nie próbują nawet zrozumieć, odrzucając ją albo dlatego, że są przekonani o wyższości własnych gustów, albo – bo nie chcą się skalać. Kto zatem jest w tej sytuacji bardziej szalony?





KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

DZIEDZICTWO

Poniższe opowiadanie zostało napisane na IX edycję pomorskiego konkursu literackiego Powiew Weny, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Wejherowie pod patronatem Prezydenta Miasta – i w listopadzie 2014 r. otrzymało I miejsce w kategorii prozy.

Z każdą wyjmowaną z kartonu kserokopią, z każdą oglądaną reprodukcją fotografii, z każdą odczytywaną kartką wypełnioną zapiskami – byłem coraz bardziej zaskoczony. A zaskoczenie, krok po kroku, przeradzało się w zdumienie. Tym większe, że człowiek, którego dotyczyły zgromadzone materiały, był moim krewnym! Wcześniej wiedziałem o nim właściwie tylko, że nazywał się Ludwik Qualfreude i że był Niemcem. Tyle potrzebowałem, by móc wpisać go na prościutkim drzewie genealogicznym przygotowywanym na lekcjach historii w podstawówce. Dostałem za nie piątkę.

Ale dopiero teraz odkrywałem swojego przodka. I muszę przyznać, że było to zajęcie nader wciągające. Przynajmniej na początku. Z kartek pisanych na maszynie, notatek bazgranych ołówkiem, odpisów i artykułów drukowanych gotycką czcionką – układał się powoli obraz człowieka. Choć prawdziwsze będzie raczej stwierdzenie, że wyłaniało się wyobrażenie o człowieku. Do uzyskanie obrazu brakowało bardzo wielu puzzli; a i te, które były, w wielu miejscach zdawały się być dopasowane na siłę.

To, że wiedziałem gdzie i kiedy urodził się mój prapradziadek, jakie szkoły skończył, z kim się ożenił i ile miał dzieci, nie czyniło go wcale bliższym. Więcej mówiły fotografie – cztery. Na pierwszej zobaczyłem trochę spiętego, ale chyba zadowolonego dzieciaka z ogromną *Schultüte*. Czy ten tekturowy róg przyniósł w przyszłości chudemu pierwszakowi wszelkie obfitości – wiedzę, bogactwo i szczęście? Drugie zdjęcie zdaje się to potwierdzać. Liczni goście otaczający młodą parę są w wybornych humorach, ślicznej małżonce błyszczą oczy, a mój młody prapradziadek utkwiał w niej rozmarzone spojrzenie, zupełnie ignorując obiektyw. Obraz sielanki uzupełniał mały lecz uroczy – a w dodatku murowany – domek, którego spore fragmenty widać zza tłumu weselników. To ich domek w podberlińskiej wsi Gatow, tak napisano na odwrocie zdjęcia. Spoglądałam na mapę Berlina z tamtych czasów. Spory kawałek mieli stamtąd do centrum, więc spokój i cisza gwarantowane.



Czwarte zdjęcie pokazuje dojrzałego mężczyznę, pod czterdziestkę, w towarzystwie kilkudziesięciorga dzieci. Nauczyciel, dyrektor szkoły, kierownik chóru? Szukam w notatkach: zgadza się, nauczyciel! Bardzo dostojnie wyglądał w tym surducie z błyszczącą dewizką zwisającą z kieszonki. Jeśli jednak bliżej się przyjrzeć twarzy, można dostrzec uniesione kąćki ust, jakby lekki uśmiech i isierki w oczach. Chyba dobrze mu tam było, skoro w czułym, moim zdaniem, geście złożył obie dłonie na głowach stojących najbliżej niego chłopaków. Przyglądam się przez lupę i widzę, że dłonie są jakby lekko rozmażane – czyżby w chwili zwalniania migawki mierzwił włosy dzieciakom? Jeśli to nie jakaś forma szczęścia, to na pewno można to określić mianem spokoju i zadowolenia.

Ostatnie zdjęcie jakby ukazywało zupełnie innego człowieka, choć od fotografii z uczniami dzieli je zaledwie kilka lat! Co się zmieniło? Dlaczego ten uśmiechnięty wcześniej człowiek ma teraz wąskie, zaciśnięte usta. Czy, zamiast błyszczeć, są zmrużone, matowe i... złe (?). Jakby coś się w nich czało, jakby coś ukrywał. Może go źle oświecili? Chyba jednak nie, bo technicznie zdjęcie wygląda naprawdę dobrze. W dodatku wykonano je w renomowanym berlińskim studio Haasego i spółki przy Unter den Linden 62. Nie, to na pewno nie kwestia techniki.

Jakby nagle zniknął gdzieś człowiek zapatrzony w ukochaną i głaszczący swoich uczniów. Czemu czoło jest zmarszczone, a dłonie zwinione w pięści? A przecież ten człowiek miał powody do radości – jego piersi zdobi jakiś order. Fotografię zrobiono w tym samym roku, w którym, jak wyczytałem w kserokopii ówczesnej gazety, został nagrodzony przez burmistrza Berlina Martina Kirschnera. Dostał nie tylko dyplom i order, ale też sporą sumkę złotych marek. Skąd zatem ta mina na fotografii wykonanej w samym sercu pięknego Berlina? A może to po prostu efekt gorszego samopoczucia tego dnia, niskiego ciśnienia, kłótni z żoną albo przełożonymi? Może zmókł idąc do fotografa, bo przecież listopad w Berlinie nie należy do pogodnych? Może po prostu był przeziębiony? Głupie zgadywanki.

Zagłębiłem się w odręcznych notatkach, które zostawił mi ojciec. Czytałem i miałem wrażenie, że coś mi umknęło, że przepadła któraś z kartek i dlatego nie zrozumiałem całej tej historii. Jak to się stało, że w jednym roku człowiek był szanowanym wiejskim nauczycielem, a trzy lata później odbierał nagrodę za... sukcesy w tępieniu berlińskich szurów?! Trzy razy czytałem, za co dostał tę nagrodę, nie mogąc w to uwierzyć. Jak dla mnie – to szokująca zmiana i raczej nie awans społeczny... Czy wiązała się w jakiś sposób z kilkoma stronami policyjnych dokumentów świadczących, że mój przodek bił żonę i dzieci, co zresztą stało się przyczyną rozwodu? Musiało to być naprawdę poważne znęcanie, bo w tamtych czasach nieczęsto dochodziło do rozwodów z powodu rodzinnej przemocy. Daty na dokumentach



lokują ten ponury epizod gdzieś w połowie między zdjęciem klasowym, a fotografią z orderem. Policyjne raporty nie wyjaśniają jednak, czy mój antenat najpierw został szczurołapem, a potem rozwodnikiem – czy odwrotnie. Skąd wreszcie ta przemoc i od kiedy ona trwała? Jeśli wcześniej miło mi się oglądało zdjęcia prapradziadka, tak po lekturze policyjnych akt wzbierały we mnie najgorsze emocje. Bo to nie było bicie bezrozumnego pijaka, to nie były zbyt impulsywne i odosobnione reakcje na – bo ja wiem – rodzinne pyskówki. Policjanci z początku XX w. nie sformułowali tego wniosku wprost, ale samo nasuwało się spostrzeżenie, że ten straszny człowiek czerpał przyjemność z bicia. Szczegóły zmilczę, ohyda!

Do takiego samego wniosku doszedł dziennikarz „Berliner Tageblatt”, który napisał sensacyjny artykuł z okazji tajemniczego zaginięcia mojego prapradziadka. Któregoś dnia nie poszedł do pracy – przepadł bez śladu. Nooo, niezupełnie bez śladu. Został po nim but. Znalaziono go po miesiącu w jednym z berlińskich kanałów. Wewnątrz tkwił fragment stopy mojego prapradziadka. Zdekompletowane obuwie rozpozнали koledzy szczurołapowie. Koledzy, jak się okazało w dziennikarskim śledztwie, to za duże słowo. Szczerze niecierpieli Ludwika, a on zdaje się robił wszystko – świadomie lub nie – by ich niechęć pogłębić. Dlatego, w przeciwnieństwie do reszty, zawsze pracował sam. Jego metody też nie były akceptowane przez resztę szczurobójców. Oni skupiali się na jak najszybszej eliminacji możliwie największej liczby szczurów,

Ludwik zaś, zanim zabił, zadawał długie cierpienia. Ktoś podpatrzył go i opowiedział reszcie. Zaczepiony w tej sprawie miał odburknąć tylko: „nie wasza sprawa; te, które jeszcze żyją, muszą czuć cierpienie martwych – przerażone łatwiej się łapie i zabija”.

Na pogrzebie stopy w bucie nie pojawił się ani jeden szczurołap, nie było też żadnych krewnych. Prócz pastora i grabarza nad mogiłą stanął jedynie żurnalista z „Berliner Tageblatt”. A przyszedł chyba tylko po to, by mieć zwieńczenie do swojego sensacyjnego artykułu „Krwawa zemsta na okrutnym zabójcy szczurów?”. Już wiem, od kogo nauki pobierali współcześni pismacy z brukowców.

A
T
N Po tym, czego dowiedziałem się o prapradziadku, szczerze dość miałem





zgłębiania historii rodzinnych. Nie chciałem wiedzieć, co jest w następnych teczkach złożonych w kartonie. Nie spaliłem ich jednak, nie wyniosłem na makulaturę. Trafiły na pawłac.

Pięć lat później w nowym mieście, w nowym mieszkaniu firma przeprowadzkowa sprawiła, że karton z tajemnicami rodzinnymi znów stanął przede mną. Ustawili go na stole w salonie. Usiadłem i spojrzałem na okładkę teczek – napis czarnym flamastrem „dziadek”. Czyli dla mnie „pradziadek” – pomyślałem.

Pradziadek w młodości zmienił nazwisko. Drugi mąż jego matki chyba musiał zgodzić się na to, by nie jego dziecko nosiło jego nazwisko. Brzmiało po polsku. Znajomo. Nic dziwnego, bo dziś noszę je ja. Otwierając teczkę złapałem się na tym, że na ułamek sekundy zamknąłem oczy i pomyślałem: „chciałbym, by były tu lepsze rzeczy”..

Pradziadek, podobnie jak jego ojczym, został rolnikiem. Razem prowadzili gospodarstwo w dużej wsi pod Zieloną Górą, która wtedy nosiła jeszcze nazwę „Grünberg”. Hodowali spore stadko mlecznych krów.

Co zostało po pradziadku? Przede wszystkim syn, czyli mój dziadek. A ponadto – dwa szkolne świadectwa, książkowy poradnik agrotechniczny z odręcznymi ołówkowymi notatkami na marginesach, trochę pocztówek przysłanych z różnych zakątków Niemiec, listy do żony wysyłane w czasie wojny, krzyż żelazny I klasy – oraz kilka zdjęć. Fotografie standardowe: ujęcia rodzinne w różnych konfiguracjach plus jeden portret pradziadka w żołnierskim mundurze. Zanim zacząłem czytać listy – ułożyłem je chronologicznie, by mieć obraz rozwoju sytuacji. Z treści pierwszych wynika, że żona była zaskoczona i wściekła jego ochotniczym zgłoszeniem do wojska. Nie rozumiała, jak mógł tak nagle porzucić rodzinę, z którą, jak jej się wydawało, był tyle lat szczęśliwy. Rzeczywiście, idąc na wojnę był już dojrzałym mężczyzną – statecznym trzydziestokilkulatkiem. Znów zaczynają się zagadki, no bo kto odgadnie, co pchnęło spokojnego rolnika, ojca dwóch córek i syna, na front. Pewnie był patriotą. Ale jeśli tak – to czemu w jego listach nie ma ani słowa o ojczyźnie, cesarzu, czy cymkolwiek takim? W kolejnych listach znika wymiana zdań z żoną, stają się one opisem żołnierskiej codzienności. W ostatnich można też znaleźć niezwykle naturalistyczne opisy walk. Okropne; jak można ukochanej – ba, jakiegokolwiek kobiecie – opisywać rozpruwanie bagnetem francuskich żołnierzy! Nawet dla mnie, nawet po tylu latach, były one przerażające. Tym bardziej, że z każdym listem stawały się coraz bardziej beznamienne. Za to, co robił, dostał krzyż żelazny.

Korespondencja urywa się, na szczęście, w 1916 roku, gdzieś pod koniec bitwy pod Verdun. Wtedy pradziadek stracił nogę urwaną wybuchem granatu.



Okrucieństwa wojny skończyły się dla niego, ale jestem przekonany, że tego nie chciał. Po rekonwalescencji wrócił do domu z drewnianą żerdzią zamiast nogi. Ale chyba nie na tym polegała najważniejsza zmiana, jaka w nim zaszła. Nie chciał już mieszkać na wsi. Znalazł pracę w mieście i zabrał ze sobą żonę i dzieci. Zamieszkali w wynajętym ciasnym mieszkaniu w kamienicy na przedmieściach. To wiem już z notatek mojego ojca, w których zapisał to, co sam zapamiętał z opowieści swojego ojca. Jest tego sporo. Z tych zapisków dowiedziałem się o powojennych losach pradiadka.

Człowiek, który kilka lat wcześniej hodował krowy, zatrudnił się w rzeźni, w której szlachtował krowy, byki i cielęta. I lubił swoją pracę! Do szaleństwa ją lubił. Zostawał w niej po godzinach, by upijać się wśród trupów bydła. Pił samotnie, grał na akordeonie tanga i głośno śmiał się do siebie. Współpracownicy, którzy szybko się o wszystkim dowiedzieli, pukali się w głowę i donosili właścicielowi. Ten jednak tolerował zachowanie pradiadka. Mówiono, że dlatego, iż pradiadek był jego frontowym kolegą spod Verdun. Prócz dziwactwa trudno mu było zarzucić coś więcej. Mimo pijaństwa – każdego dnia punktualnie stawiał się w pracy. Aż do dnia, w którym jego drewniana proteza poślizgnęła się w kałuży krwi, a jego korpus znalazł się w miejscu, w którym nigdy znaleźć się nie powinien. Byk, czekający na śmierć, zamachnął się wówczas głową i rogiem rozplątał brzuch pradiadka. Nim sprowadzono lekarza – większość krwi wypływającej z umierającego człowieka wymieszała się ze zwierzęcą posoką na posadzce.

Następnego dnia prababcia poszła do rzeźni, by zabrać z szatni ubrania męża. Kiedy otworzyła szafkę – zemdląła. Cucący ją robotnicy zobaczyli półki, na których stały ustawione rzędami słoje z oczami. Łagodne zwykle krowie oczy, wyłupione z oczodołów, pozbawione powiek wyglądały na nienaturalnie wytreszczone. Unosiły się w jakiejś przezroczystej zalewie. Ani prababcia, ani jej syn, ani właściciel rzeźni nigdy nie dowiedzieli się, czemu miało służyć to, co znaleziono w szafie. Pradiadek chciał coś zobaczyć w tych oczach? Odbicie własnej twarzy, ostatniej istoty, którą widziały umierające zwierzęta? Nie wiem.

Niemożliwe, by w dziadkowej teczce mogło czekać na mnie coś jeszcze gorszego. Wyjąłem następną kartonową – trzymając kciuki, by nie okazała się kolejną puszką Pandory.

Mój dziadek został pastorem. Po tym wszystkim, czego dowiedziałem się o jego ojcu, nie zdziwiło mnie to. Szaleństwa ojca musiały się jakoś odcisnąć na dziecku i pchnąć je na niezwykłą drogę. Szczęśliwie, mimo zawieruchy wojennej i powojennej wędrowności ludów, zachowało się w kancelarii zboru mnóstwo jego kazań. Przeczytałem je wszystkie i poruszyło mnie powtarzające się



w wielu z nich wołanie do wiernych o dobro dla słabych, ubogich, opuszczonych i... zwierząt! Taki byłem dumny z mojego dziadka, gdy czytałem jego płomienne słowa wzywające do ulżenia doli łańcuchowych psów przykutych dożywnotno do bud. Wyobraźcie sobie takie słowa w 1932 roku!

Kiedy do władzy doszli naziści – w kazaniach dziadka zaczął pobrzmiwać sprzeciw wobec uzależniania chrześcijańskich Kościołów od państwa. Ustawy norymberskie, które wykluczyły wiernych pochodzenia żydowskiego ze wspólnot religijnych, potępił otwarcie (za co „nieznani sprawcy” pobili go dotkliwie). Nie ugiął się jednak i dalej robił swoje. Przez pewien czas naziści tolerowali go, jednak w 1936 r. w końcu otrzymał to, na co – zdaniem sędziego – zasłużył: trafił na kilka miesięcy do więzienia jako „wróg III Rzeszy”. Jego współwięźniami byli pospolici przestępcy, w tym dwóch morderców. Z pewnością był bity, bo kiedy wrócił do domu, na jego ciele wciąż widać było krwinki. Co jeszcze spotkało go za kratami pozostanie tajemnicą, gdyż nigdy i z nikim o tym nie rozmawiał. Coś się jednak stać musiało, bo niedługo po powrocie wystąpił o członkostwo w NSDAP. Podanie trzydziestosiedmioletniego pastora zostało odrzucone. Nieliczni wierni, którzy dotąd sympatyzowali z jego poglądami, zaczęli szeptać za jego plecami, iż naziści złamali go. Przestali zaś zupełnie przychodzić na niedzielne nabożeństwa, gdy zaczął na nich głosić hasła niemal żywcem wyjęte z artykułów Streicherowskiego „Stürmerra”. Zastąpili ich nowi wyznawcy – ci, którzy w czasie Kryształowej Nocy rzucali kamieniami w witryny żydowskich sklepów, a na nocnych wiecach masowo wyciągali prawe dłonie w hitlerowskim salucie.

Takiego ojca nie znali ani synowie, ani żona. Początkowo byli przekonani, że jego nowe zachowanie jest próbą odsunięcia zagrożenia od rodziny. Kiedy jednak pastor zaczął i do nich wygłaszać Goebbelsowskie łgarstwa, zupełnie stracili orientację. Z domu zaczęła ulatniać się miłość i atmosfera zaufania. Skończyły się rozmowy przy rodzinnych posiłkach. Zastąpiły je ojcowskie tyrady na temat wrogości państwa.

Kiedy synowie pastora dostali w końcu nieuniknione powołania do wojska, bo wojna trwała już prawie dwa lata, nie ucieszyli się. Żaden z nich nie chciał służyć tyranowi pomocą w niewoleniu innych narodów. Tak przecież wychował ich ojciec. Ten, którego znali dawniej... Ten obecny ucieszył się, że wyruszą na front! Nawet na pożegnanie nie znalazł dla synów ciepłego słowa. Wyszczał jedynie: „pozabijajcie tych wszystkich plugawców”. I były to ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek od niego usłyszeli. Nigdy więcej się już bowiem nie spotkali. Dwaj zginęli w ciągu niespełna czterech miesięcy, a trzeci wrócił do domu dopiero po wojnie.



Pastor usiadł w swoim śląskim zborze do jesieni 1944 roku, wtedy usłyszał płomienny apel Führera: „Dla wzmocnienia aktywnych sił naszego Wehrmachtu – a w szczególności dla prowadzenia nieubłaganej walki wszędzie tam, gdzie wróg zechce stanąć na niemieckiej ziemi – wzywam wszystkich zdolnych do noszenia broni niemieckich mężczyzn, aby stanęli do walki”. Natychmiast zgłosił się na ochotnika do wojska i raz jeszcze poprosił o przyjęcie do partii. Do NSDAP znów go nie przyjęto, ale do wojska owszem. Kiedy zamykał za sobą drzwi opustoszałego domu, mamrotał pod nosem przekleństwa. A jedno z nich z całą pewnością dotyczyło żony pastora, która rok wcześniej uciekła od niego do Turynii, gdzie mieszkała jej siostra. Pożegnanie mojego dziadka z domem widziała i słyszała sąsiadka stojąca przed domem. Od dawna nie dziwiła się niczemu, jako że przez kilka ostatnich lat była uważnym świadkiem przemian, jakie zachodziły w pastorze. Jeśli się czemuś dziwiła, to tylko temu, że żona tak późno porzuciła człowieka, który teraz przechodząc obok niej, w odpowiedzi na jej życiwe „lassen Sie Gott führen”, rzucił tylko ponure spojrzenie. Parę metrów dalej, całkiem na pożegnanie, kopnął bezpańskiego kundla płaczącego się pod nogami.

Mój dziadek pastora trafił do wrocławskiego Volkssturmu. Widać w Wehrmachcie nie chcieli podejrzanego ideologicznie pastora, który miał w dodatku jedną krótszą nogę. Jego batalion liczył prawie czterystu ludzi. Wojnę przeżyła ponad połowa, było więc dość łatwo dotrzeć do dziadkowych towarzyszy broni. Jednak – jak się okazało – ci, których odnalazł mój ojciec, wcale nie byli chętni do wspomnień o swoim koledze z jednostki. Nabierali wody w usta, gdy tylko dowiadawali się, kim jest pytający. Dziwne było to, że o ile o swoich własnych wojennych wyczynach opowiadali dość otwarcie, to zagadywanie o dziadka zbywali frazesami. Połapawszy się w sytuacji – mój ojciec na kolejnych spotkaniach zmienił taktykę i przedstawiał się jako historyk raczej sympatyzujący z dawnym reżimem. W kilku przypadkach pomogło. Dzięki sprytowi ojca mogłem dowiedzieć się, jak skończył dziadek. Bronił oblężonego w 1945 r. Wrocławia. Ponoć palił się do zabijania Rosjan i nieustannie ostrzył bagnet sterzący przy lufie starego mannlichera.

Zgodnie z rozkazem komendantury Festung Breslau we wrocławskim ogrodzie zoologicznym zginąć miały wszystkie drapieżniki, które w razie uszkodzenia klatki mogły zagrozić niemieckim żołnierzom. Do akcji likwidacyjnej wyznaczono Gruppe z batalionu mojego dziadka. Wyznaczona dwunastka volkssturmistów szemrała. Nie chcieli strzelać do zwierząt; kiedy jednak zagrożono im sądem polowym – poszli. Mój dziadek był w tej grupie. Im bliżej zoo byli, tym głośniej wyrażali sprzeciw wobec wyznaczonego zadania. Mogli sobie na to pozwolić,



ponieważ nie było z nimi żadnego oficera, ani nawet podoficera. Prowadził ich kolega, zwykły starszy szeregowiec. Przecież nie zastrzeliliby ich za „defetyzm”.

Już w zoo, zgodnie z relacją jednego z uczestników akcji, mój dziadek zaofiarował, że chętnie wyręczy swoich kolegów i sam zlikwiduje zwierzęta. Wszyscy zgodzili się natychmiast, nie chcieli nawet oglądać tej egzekucji. Tylko dowódca miał wątpliwości. Zgodził się jednak i on, bo – tak jak pozostałym – nie uśmiechało mu się strzelanie do pięknych lwów. Starszy szeregowy Otmar Schultz jako jedyny z oddziału chodził z dziadkiem od klatki do klatki. Spoglądał na kartkę, na której wypisano mu listę zwierząt do zabicia, i patrzył. Częściej jednak odwracał głowę. Pierwsze padły słonie. Podchodziły blisko do ogrodzenia – jak wtedy, gdy w niedzielne poranki odwiedzały je rodziny z dziećmi. Tym razem zamiast owoców w ich stronę poleciały kule. Umierały długo; może dlatego, że dziadek nie był zręcznym strzelcem i nie wiedział, jak zabija się tak duże zwierzęta. A może chciał, by cierpiały. Ryk przepełniony bólem niósł się po całym zoo. Kolejne ofiary – jakby wyczuwając nadchodzącą zagładę – nie podchodziły już blisko, kryły się w zakamarkach wybiegów, kuliły się w kątach klatek. Mimo to ginęły jedno po drugim. Jedne z głośnym skowytom, inne cicho patrząc tylko w oczy oprawcy. Pozostały jeszcze tylko tygrysy nerwowo biegające w tę i z powrotem. A między nimi jedno małe, stojące w miejscu, jakby zagubione, niczego nierozumiejące tygrysiątko. Kiedy trójka dorosłych osobników leżała już bez ruchu, dziadek miał głosem pozbawionym wszelkich emocji spytać dowódcę: „małego też?”. Ten skinął tylko z głową. Maluch nagle jakby ożył, zerwał się do pokracznego biegu i ukrył się w jednej z wielkich drewnianych bud, w których zwierzęta nocowały. Strzelanie do nich nie przyniosło efektu, kociątko skryte za deskami ciągle żyło, dawało o sobie znać przerażonym skrzeczeniem nawołującym rodziców. Po kilkunastu nieudanych próbach trafienia poprzez ścianki dziadek postanowił wejść do środka i z bliska rozprawić się z oporną ofiarą. Kiedy był dwa metry od bud – z otworu wejściowego jednej z nich bezgłośnie wyskoczyła tygrysica. Człowiek nie miał szans na reakcję. Mundur pociemniał błyskawicznie, gdy z rozszarpanej pazurami i kłami szyi wypłynęła krew. Starszy szeregowy Otmar Schultz patrzył na tę scenę trzymając karabin w garści. Nie podniósł go jednak w obronie podkomendnego. Tego dnia nie padł już w zoo ani jeden strzał.

W kartonie skrywającym rodzinne tajemnice pozostała mi do przeczytania jeszcze tylko zawartość jednej z kopert. Była zaklejona. Swoimi charakterystycznymi kulfonami ojciec zaadresował ją do mnie najkrócej, jak się dało – napisał: „Do mojego syna”. Wiedziałem o niej od dawna, ale czytać jakoś nie chciałem



przez te wszystkie lata. Spodziewałem się znaleźć w niej prośby o przebaczenie i tłumaczenia, dlaczego nas opuścił. Przez całe życie uważałem go za tchórza i nie miałem ochoty zmieniać tej opinii. Wiele razy miałem w rękach tę kopertę. Rozerwałem ją dopiero teraz, po upływie trzynastu lat od chwili, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem.

Tak jak się spodziewałem – prośby o przebaczenie i tłumaczenia. Ale, co mnie zaskoczyło, nie było w tym żadnego szantażu emocjonalnego, taniej łzawości. Kolejne zdania wiązały w spójną całość to, czego dowiedziałem się z kartonowych zapisków rodzinnych. Logika tego wyводу była szalona – ale czy wszystko, co działo się przez ostatnie stulecie z moimi przodkami, ma proste wyjaśnienie? Ja nie umiałem go dostrzec. Mój ojciec dostrzegł. A to, co stało się później, to co zrobił – było prostą konsekwencją.

Nic nie stało się nagle, a proces postępował nieubłagane. Mój ojciec dostrzegł pierwsze zmiany w trzydziestym czwartym roku swojego życia. Nie potrafił zidentyfikować żadnego impulsu, który mógłby je zainicjować. Wiedział, że coś się dzieje, obserwował to z laboratoryjną precyzją i opisywał. Zebrał sporo materiałów o naszych przodkach, dość by móc porównywać siebie do tego, co dostrzegł u nich. Wniosek: ten sam lub bardzo podobny kierunek zmian. Z kochającego rodzinną romantyka, poety, miłośnika podróży i przyrody – stawał się istotą zgorzkniałą, złą, żywiącą pogardę dla otaczającego ją świata. Opisywał to obrazowo jako wypełnianie jego ciała lepką, czarną, cuchnącą mazią. Odczuwał ją wręcz fizycznie. Kiedy już wypełniła stopy – sprawiała, że mimowolnie poszturchiwał koty nogami. Jeszcze tylko poszturchiwał; lecz czuł, jak z każdym tygodniem jego ciało chce wymierzyć kopniaka. Umysł jeszcze to kontrolował. Tak, ale było coraz gorzej. Zaczynał przeklinać, kłamać, złorzeczyć. Wiedział, że traci kontrolę nad swoim życiem, nad sobą. Próbował się ratować – lecz ani farmakologia, ani ciągnąca się miesiącami psychoterapia niczego nie zmieniały. Wciąż się zmieniał.

Decyzję podjął, gdy poczuł, że czarna maź wypełnia go już po szyję, a jego wola przestaje panować nad nakazami kleistej brei. To był dzień, w którym żaden z naszych sześciu kotów nie chciał do niego podejść. Nawet ten najbardziej łasy na pieszczoty. Wszystkie ominęły go dużym łukiem i uciekły na ogród. I, póki był w domu, nie chciały wrócić. Patrząc na nie – zebrał wszystko, co wiedział o naszej rodzinie: zapiski, notki, nagrania rozmów, zdjęcia, artykuły, dokumenty, wspomnienia. Spakował je do kartonu, dołożył list do mnie i odszedł. Na lustrze napisał szminką żony: „kocham was”. Miał na imię Franciszek.

Teraz zostałem sam z tym dziedzictwem.



W roku 2016 nakładem GKF ukaże się zbiór esejów przygotowywanych przez doktorantów gdańskiej anglistyki pt. *Terry Pratchett. Mistrz i jego twórczość*. Książkę, będącą 21. tomem serii wydawniczej „Anatomia Fantastyki”, wzbogacą ilustracje Agaty Plank-Wcisłowskiej. Poniżej – na zachętę – prezentujemy jedną z nich.



